

Łup. Łup. Łup...

Głuche uderzenia. Czy to pościg? Czy jego własne tętno... Oby to ostatnie. Tętno znaczy, że wciąż coś pompuje krew.

Szybciej.

Palce zdarte niemal do kości, paznokcie już dawno nie chronią wrażliwej tkanki. Ale jeszcze jeden kamień. Jeszcze jedna garść żwiru. Pomiędzy skalnymi odłamkami zimny prąd. Powietrze.... To powietrze! Jeszcze chwila... Jeszcze trochę wysiłku...

Trzask.

Twarz za plecami. Znowu. Który to z nich? Koidate? Ikahai?... Nie... Proszę, nie znowu...

Świadomość, że on tam stoi. Nie chcę, nie chcę się odwracać.

Płacz ściska za gardło. Żal. Rozpacz. Poczucie winy.

- Wybacz, proszę... Mutua me....

Śliska od krwi, tkanki i wody dłoń ślizga się na ozdobnej rękojeści generalskiej katany. Ostrze raz dobyte musi skosztować krwi... Ale wróg już nie ma krwi w żyłach. Ma za to twarz przyjaciela. Dopiero co utraconego przyjaciela.

Najlepsza laryjska klinga tnie tkankę jak masło.

- Przeklinam cię...

Gdzieś w ciemności słychać głuchy chichot. A może to tylko echo od mokrych ścian jaskini. Ciemność. Cisza. Ciemność....

\*\*\*

- Co z nim?

Atahua siedziała przy rannym już ponad cztery doby, nie chcąc odpuścić ani na chwilę. Od momentu, kiedy znalazła go na dnie wąwozu Karoa. Ata była szkoloną medyczką, uzdrowicielką w osadzie Otere-kei, leżącą u wschodniego podnóża potężnego masywu Kalidore-ahu.

To był przypadek, spacer po zioła w piękne, jesienne popołudnie. Szelest kamieni. Jęk. Potwornie okrwawiona dłoń, wystająca ku niebu z piargowego osypiska. Ata chyba nigdy nie widziała tak wycieńzonego człowieka. Jego dłonie wyglądały, jakby własnymi palcami wykopywał się spod ziemi. Poszarpana lamelkowa zbroja niemal wżerała się w ciało w miejscach, gdzie coś o potężnym ciężarze wgniotło stal. Organizm był wycieńczony wysiłkiem, odwodniony, stracił mnóstwo krwi. Część ran wskazywała na walkę, część – jeśli miała być efektem starcia to chyba z olbrzymami skalnymi, bo wyglądały jakby wojownik wydostał się spod skalnej lawiny. Najgroźniejsze rany były jednak szarpane i gdyby to było możliwe, Atahua uznałaby, że zostały wyrwane za pomocą gołych dłoni. Nie wierzyła, że z takimi ranami można wciąż żyć...

Zaniosła go do osady na własnych rękach, był wychudzony, więc choć wysoki, nie był zbyt ciężki. Wezwała wszystkich swoich uczniów. W kilka osób zszywali, oczyszczali, cięli, łątali i pospiesznie pompowali magię w żyły, póki co nie zadając zbędnych pytań.

A potem czuwała, słuchając majaczeń. Jej wuj, Tamati, Drugi w Rodzie, po raz kolejny przyniósł jej czarnekę parującej herbaty.

- Jak widzisz. Nie odzyskał przytomności. Wciąż wzywa jakieś imiona. Paora. Ikahai. Waimarie. Przeprasza ich. Krzyczy, jakby ktoś go ścigał. Płacze. Wiesz... myślę, że w jakiś sposób się dostali do jaskiń pod Karoa-ahu, zagubili się tam. Wiesz, jak tam jest, jeden krok i gubisz drogę. A ci, co stamtąd nie wyszli... To straszne miejsce.

- Ata, wiemy, kto to jest.

Uzdrowicielka poderwała się jak oparzona.

- Wiecie??

- Tak. Ich oddział przechodził kilka tygodni temu przez trakt do Kalidore-ahu. Ponad dwustu wojowników.

- Słyszałam o tym – potwierdziła – Mówili, że to jakiś generał... Zresztą, widziałeś oznaczenia na mieczu. I na tym, co zostało ze zbroi...

- Trafnie je czytałaś – potwierdził Tamati – To generał, jeden z pięciu głównodowodzących, pierwszy przyboczny t'antsan, zwycięzca spod Wokai i Tarnino, pogromca Ofiryjczyków...

- O, przodkowie....! - szepnęła w przejęciu – To jest generał Faltorn Tora Andhakara...? Nie żartujesz sobie ze mnie?

- Nie, Ata. To on. Wszystko to potwierdza.

- Ale... gdzie jest jego oddział? Porzucili go w górach?

- Nie. Nikt nie dotarł do Hordonu w Kalidore, a musieliby tamtędy przechodzić, schodząc ze szlaku. I powinni tam dojść dwa tygodnie temu... Przedwczoraj wypuściłem zwiadowców w góry. Ani śladu. Nic. Nie ma obozowisk, ślady oddziału urywają się przy zejściu do jaskiń pod Karoa-ahu. Do jaskiń prowadzi trochę śladów, ale żadne nie wychodzą. Nie ma ciał. Nie ma śladów walki... Jakby... Zniknęli. Tylko on się wydostał.

- Ech.... – Atahua westchnęła ze współczuciem, ocierając pot z czoła swojego podopiecznego – Przez trzy tygodnie błąkał się po jaskiniach... To cud, że przetrwał. Wysłałeś tam kapłanów Ikni? Jeśli jego towarzysze zginęli, to kapłani ich znajdą wśród Przodków. To mogli być Podziemni, mogli przejść przez jaskinie. Ludzie generała ostatnio wielu ich przecież pocięli, choćby w bitwach pod Togmate.

Tamati Kodare Ahi usiadł ciężko obok swojej siostrzenicy, podpierając się dłońmi, jakby chciał zachować pion, by to, co miał do powiedzenia, nim nie zachwiało.

- Wysłałem kapłanów. Poszedł Akai Kodare. I Kovenei. I Kreita. Akai nie żyje. Pozostali wrócili i oznajmili, że tamci wszyscy nie żyją. Cały oddział generała Faltorna. Wszyscy nie żyją. Ale... nie wiem, jak to rozumieć... Ale nikt z nich nie dotarł do Ikni.

Uzdrowicielka zamilkła, patrząc z uwagą na krewnego, którego szanowała i doskonale widziała targającą nim wątpliwość.

- Co się stało z Akai? – zapytała wreszcie.

- Umarł przy rytuale. Powiedzieli, że to tragedia, ale to był jego błąd, źle poprowadzona magia... Ata. Jak mam nie wierzyć kapłanom Ikni? Jak mam nie wierzyć przodkom?

- Masz rację... - powiedziała poważnie – Tam musiało stać się coś... Musieli zetrzeć się z czymś, co ściągnęło ich dusze poza Ikni. Może to magia psioników. Zbadamy jaskinie. Znajdziemy to. Póki co... Wystawmy obelisk tym wojownikom. Cokolwiek uczynili w godzinie śmierci, wcześniej dzielnie służyli na wojnie... Prawda?

Ponad osadą Otere-kei u wschodnich podnóży Kalidoru wznosi się ku niebu poszarzała piaskowcowa ma'khasala. Na kamiennych cylindrach, z których składa się "ściana poległych", wydrapano ze średnim kunsztem kamieniarskim imiona.

Koidate Kara Lo'ire Rino

Waimarie Talau Lo'ire Rino

Ikahai Sano Rai Tengava Waitiri

Mari Oa Mishude Ahi

Pahora Akade Marai-de Ahi

...

I dalej. Ponad dwieście...

Zbadano jaskinie. Przeszukano wąwozy. Generał odzyskał przytomność, ale jego relacja nie trzymała się sensu. Mówił o osadzie, której tam nigdy nie było. Mówił o magicznej pułapce, w którą

wpadli. Mówił o swoich poległych towarzyszach, zmienianych w ...coś, czego nie rozumiał, bezwolne maszyny do zabijania. Nic, o czym mówił, nigdy nie znalazło odzwierciedlenia w dowodach.

A sam generał rychło przestał być traktowany poważnie, po tym, jak w zamachu zabił brata księżnej. Czemu go nie zabito? Z powodu jego zasług wojennych? Może z powodu niejasnych okoliczności zamachu? Może z racji zażartej obrony, jaką zorganizowali jego synowie. Polegli kolejni wojownicy. Niepotrzebnie. Może też dlatego, że sam Faltorn nigdy nie otrząsnął się z koszmaru i nigdy nie odzyskał klarowności myślenia... Ród Andhakara został skazany na wygnanie ze wspólnoty.

Tamati zginął, uczestnicząc w wyprawie dyplomatycznej do Wergundii, zabity w 935 r. ostrzami wojowników Qa.

Atahua poległa w starciu pod Kerłą, w 936 roku. Do samego końca otrzymywała wysyłane z nieznanego miejsca kwiaty. Kwiat koi-dere, "zimowy kaktus". W podziękowaniu za uratowane życie. Nigdy nie dowiedziała się, co stało się temu, którego uratowała.